

Bez

Nr 6 2013/14
(149)
LUTY
CENA 2 ZŁ

Wydanie specjalne

tytułu

MISTRZ PISMAKÓW 2009



Wspomnienie o ks. Józefie Ślęzyku

Przeszło 20 lat temu poznałem Ks. Prałata Józefa Ślęzyka, będąc już w Nowym Targu. Ks. Prałat przyjeżdżał na spowiedzi przedświąteczne i dekanalne spotkania kapłańskie. Zapamiętałem Go jako człowieka pogodnego i dynamicznego. Był szanowanym kapłanem i cenionym duszpasterzem. Potem moje spotkania z ks. Józefem były sporadyczne i okolicznościowe. Odkąd zostałem proboszczem w Miętustwie starałem się odwiedzać ks. Prałata, słuchając Jego wspomnień oraz podpowiedzi. A wspominał wiele chwil z pobytu w Nowym Targu, Kaniowie i w Miętustwie. Przypominał trudne doświadczenia, ale też chwile pozytywne. Widać było obecne w jego sercu pamięć i wdzięczność wobec wspomnianych wspólnot parafialnych i konkretnych osób. Zresztą pogrzeb potwierdził, że uczucia te odzwierciedlały Jego Parafianie. I tak jak On pamiętał o wszystkich w modlitwie i w cierpieniu, tak wielu przybyło na pogrzeb, aby ofiarować swoją modlitwę, z Nowego Targu, Kaniowa, Słopnic (rodzinnej parafii) i z ostatniej Jego parafii, z Miętustwa. Bardzo budującym była dla mnie postawa wielu osób, które chciały się bezinteresownie zaangażować w przygotowanie pogrzebu i uczestniczyły w całej liturgii wypełniając różne posługi. Chętnych do pomocy było więcej niż koniecznych posług. Myślę, że nie zapomnimy o wieloletnim duszpasterzu Podhala. Ufam także, że ś. p. ks. Józef będzie nas nadal wspierał swoim wstawiennictwem. Zachęcam do lektury okolicznościowego wydawnictwa.

ks. proboszcz Janusz Rzepa

Droga krzyżowa ks. Józefa



Autor wspomnień o księdzu prałacie rozmawia z nim w plebańskich ogrodach. Na sąsiedniej stronie: Ksiądz proboszcz Józef Ślęzyk – jak tylko mu siły na to pozwalały – starał się uczestniczyć w ważnych wydarzeniach w parafii

Marianem Dziubasem (wszyscy ci chłopcy zostali później kapłanami). Przejeżdżając blisko Kaniowa, postanowiłem odwiedzić ks. Józefa. Słońce chyliło się już ku zachodowi. Pamiętam, że kiedy wjechaliśmy na teren parafii, ks. Józef wychodził właśnie z plebani. Przyjął nas bardzo serdecznie i poprosił swoją gospodynię, aby zrobiła nam kolację. Chłopcy się umyli i zasiedliśmy do wspólnej wieczerzy. Kolacja trwała dość długo. Gdy młodzi poszli spać, my z ks. Józefem długo jeszcze rozmawialiśmy o jego nowej parafii. Ks. Józef pytał też, co słychać w Nowym Targu. Ciekaw był, jaką mamy teraz młodzież i jakie wspólnoty działają w naszej parafii. Wyczułem w czasie tej rozmowy że ks. Ślęzyk tęskni jeszcze trochę do naszego miasta. W roku 1989 dowiedziałem się, że proboszcz parafii w Miętustwie ks. Wiesław Macuda, który w latach 1977-1985 był w naszej parafii wikarym, odchodzi do Krakowa, a jego miejsce zajmie ks. Ślęzyk. „Bogu dzięki!” – mówiliśmy. Ks. Józef będzie bliżej swoich. Nie przypuszczaliśmy, że posługa ks. Ślęzyka w Miętustwie będzie naznaczona ogromnym cierpieniem. Po tragicznym wypadku samochodowym, który miał miejsce w roku 1996, ks. Ślęzyk bardzo długo nie mógł dojść do siebie. Przyjeżdżał potem do naszej parafii jako wspaniały spowiednik, ale nigdy już nie odzyskał swej dawnej radości. Włosy mu posiwiały, z twarzy

zniknął pogodny uśmiech. Wyczuwało się, że coś go ciągle dręczy.

Odwiedziłem ks. Ślęzyka pod koniec lat 90. Kiedy tak sobie siedzieliśmy przy herbacie, spytałem: „Księżo Józefie, czy czujesz się już trochę spokojniejszy po tym tragicznym wypadku samochodowym?” „Panie Franciszku - odpowiedział ks. Ślęzyk - tego nie da się wyciszyć. To mi zostało głęboko w sercu”.

Tymczasem nie był to koniec cierpienia ks. Ślęzyka. Dziś, po długim wypadku, ks. Józef mówi: „Kiedy jadę swoim wózkiem inwalidzkim do ołtarza, dziękuję Bogu za to życie, które mi jeszcze daje, a swoim parafianom za modlitwę i za wszystko, co zrobili żeby mnie zatrzymać w Miętustwie”.

Życzę Ci, księżo proboszczu, aby jubileusz 100 - lecia twojej parafii był okazją do pojednania wszystkich parafian. Życzę wszystkim mieszkańcom Miętustwa, aby przygotowując się do tej ważnej uroczystości, oczyścili swoje serca i wyciągnęli dłoń do wszystkich tych, od których odgradzał ich mur niechęci, a może nawet nienawiści. To będzie najlepszym świadectwem naszej góralskiej wiary, szczerzej i płynącej prosto z serca.

Pragnąc uwiecznić sylwetkę tego niezwykłego kapłana, oddałem głos jemu samemu i poprosiłem, aby opowiedział mi o swoim życiu. „Urodziłem się 18 października 1939 r. - pisze ks. Józef Ślęzyk - w

Słopnicach koło Limanowej jako ósme dziecko Józefa i Anny z domu Grudkiewicz. Miałem czterech braci i trzy siostry, z których jedna urodziła się z wadą serca i zmarła, gdy chodziłem jeszcze do podstawówki. Mama urodziła mnie w czterdziestym piątym roku swego życia. Rodzice dożyli późnego wieku. Tato umarł, mając lat dziewięćdziesiąt sześć, a mama osiemdziesiąt sześć. Rodzice byli rolnikami. Mieli niewielkie gospodarstwo, do którego trzeba było ciągle dokładać. Tato dodatkowo pracował jako murarz.

Szkołę Podstawową nr 1 w Słopnicach ukończyłem w roku 1953. Poziom nauczania w tej szkole był bardzo wysoki - głównie dzięki panu kierownikowi i dobrym, przedwojennym nauczycielom. Wysokie wymagania i surowe wychowanie spowodowały to, że większość absolwentów bez trudu zdawała egzaminy do liceów i szkół zawodowych.

Będąc w klasie siódmej, zostałem ministrantem. Wzrastałem pod okiem ks. Proboszcza Franciszka Cieklińskiego, który wymagał tak od chłopców, jak i od dziewcząt wyuczenia się po łacinie ministrantury oraz odpowiedzi mszalnych.

Codziennie wyznaczałem dwóch chłopców do służby liturgicznej i dwie dziewczynki, które odmawiały przy nim na głos określone modlitwy. Chłopcy, którzy najlepiej spełniali posługę, zostawali ministrantami. Wśród tych wybranych znalazłem się ja. Wcześniej nie byłem ministrantem ze względu na to, że do kościoła miałem bardzo daleko.

Po ukończeniu klasy siódmej zgłosiłem się do Technikum Przetwórstwa Owocowego w Tymbarku, ale mimo dobrego świadectwa nie zostałem przyjęty. Dyrektor uzasadnił swoją decyzję tym, że nie mam jeszcze 14 lat. Rok szkolny 1953/54 przeżyłem więc w domu,

**Bez
tytułu**

Redakcja i skład:
Jan Głabiński.

**Redakcja
techniczna:** Kamil

Basiorka. Wydawca: Szkoła Podstawowa nr 1 im. Bohaterów Westerplatte w Cichem, tel: 018 26 58 128. **Strona internetowa:** www.spciche1.pl.

pracując z rodzicami na gospodarstwie, służąc do mszy św. I pomagając panu kościelnemu. W 1954 r. za radą jednego z nauczycieli złożyłem papiery do Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej - Sowlinach i zostałem przyjęty. Do nowej szkoły miałem ok. 7 km. Starsi koledzy pokazali mi po jakimś czasie drogę na skróty - ścieżkami i drogami biegnącymi wśród pól. Gorzej było jednak zimą. Jakże trudno było wędrować wśród zasp, walcząc z wiatrem i mrozem! Wraz z trzema kolegami zamieszkałem więc na stacji. Moja siostra, starsza ode mnie o 20 lat, pracowała w tym czasie w Zakopanem i mieszała tam u Gąsieniców - Makowskich przy ul. Kościeliskiej 16. To właśnie ona postarała się o przyję-

zantami. Mieszkaliśmy blisko rzeki Słopniczanki i wpadającego do niej potoku. Partyzanci przychodzili do nas coś zjeść, wziąć kawałek chleba albo przespać się na sianie. W czasie oblężenia naszego domu Niemcy szukali mojego ojca. Tato ukrył się na strychu w dużej wiązce słomy zwanej ociepką i oczekując najgorszego, modlił się na różańcu. Niemiec, który sprawdzał strych, wbił bagnet w słomę tak, że ostrze otarło się o plecy taty i przeszło ociepkę na wylot. Gdyby Niemiec wbił swój bagnet o centymetr bliżej środka wiązki, byłoby po nas, spłonęlibyśmy żywcem. Tak, pamiętam, spłonęła rodzina, której udowodniono współpracę z partyzantami. Uratował się tylko jeden, sześciolatek ich syn, który - widziałem na własne oczy - następnego dnia po egzekucji grzebał długim kijem w spalenisku i z płaczem wołał: Tato! Mam! Wyciągał tylko opalone kości. Pamiętam trudne, powojenne czasy: szkołę, pracę w gospodarstwie, codzienne pasienie krów. Pamiętam też radość świąt, śpiew na pastwisku, kopanie piłki szmacianki, pieczenie ziemniaków i rywalizację, kto zrobi większą sobótkę...

Utkwiły mi w pamięci roraty - o szóstej rano staliśmy w zimnym kościele z lampionami w dłoniach. Potem pasterka, wspólne kołędowanie, Wielkanoc, wesoła zabawa w lany poniedziałek... Z lat szkoły średniej wspominam wesołą wędrowkę do Limanowej i „dokarmianie się” pięknymi węgierkami i jabłkami. Z Zakopanego wspominam piękny widok Tatr, spotkania koleżeńskie, lekcje religii, próby ateizacji przez Związek Młodzieży Polskiej i niektórych młodych profesorów. Wreszcie nadeszły rekolekcje przedmaturalne u księży pallotynów na Skibówkach i bal maturalny. Przeżyłem to wszystko głęboko, uświadamiając sobie, że czas płynie bardzo szybko i trzeba pomyśleć o przyszłości.

13 września rozpocząłem studia w seminarium duchownym. O właściwe przygotowanie kleryków do kapłaństwa troszczyli się rektorzy (ks. Karol Kozłowski i ks. Eugeniusz Florgowski) oraz ojcowie duchowni (ks. Stanisław Smoleński i ks. Jan Kościółek). W czasie wakacji pomagałem rodzicom w domu i księdzu proboszczowi przy

kościółce, wiele czytałem i chodziłem po górach. Były to chwile zbliżania się do Boga poprzez pracę i kontakt z przyrodą. Studia seminaryjne ukończyłem w 1964 r. 21 czerwca przyjąłem sakrament kapłaństwa, a 28 czerwca odprawiłem pierwszą mszę św. 1 sierpnia rozpocząłem posługę w parafii w Ślemieniu, położonym między Suchą Beskidzką a Żywcem. Powoli wdrażałem się do nowej pracy, poznawałem parafię z jej piękną Jasną Górką i miejscowościami: Las, Kurów, Kocoń, z którego wywodzi się ks. biskup Albin Małysiak.

We wrześniu zacząłem nauczać religii. Podziwiałem gorliwość dzieci, szczególnie tych z podstawówki w Lasie. Ludzie otaczali nas - księży życzliwością, dobrocią. Było to dla mnie bardzo krzepiące. Nie czułem zmęczenia pracą, choć musiałem przeprowadzić 30 lekcji religii tygodniowo, a do punktów katechetycznych dojeżdżałem raz furmanką, innym razem autobusem lub rowerem, a nieraz szedłem pieszo. Prowadziłem też większość nabożeństw. Wielką radość sprawiała mi pobożność moich parafian.

8 września 1964 r. przeżyłem po raz pierwszy słynny na całą żywiecczyznę odpust z okazji święta Narodzenia Najświętszej Marii Panny, a w pierwszą niedzielę po 12 września - święto imienia Maryi. Ogromna ilość pielgrzymów, kolejki do spowiedzi, rozmodlenie ludzi - wszystko napędliało radością serce młodego kapłana.

W
czerwcu
1968
roku
rozstałem
się ze
Ślę-

mieniem i rozpocząłem posługę wikariusza w Wodnej- Krystynowie. Była to parafia robotnicza. Ludzie pracowali głównie w kopalniach Siersza i Trzebinia, w Zakładach Materiałów Ogniotrwałych Górka, w rafinerii w Trzebini oraz w różnych zakładach w Chrzanowie. Praca w Wodnej - Krystynowie była dla mnie zupełnie nowym doświadczeniem. Katechizowałem tylko dwadzieścia godzin tygodniowo, ale była to dla mnie często męka. Wielu uczniów nie uczęszczało na religię, a niektórzy, szczególnie ci z rodzin obojętnych religijnie lub ateistycznych, przychodzili tylko po to, żeby przeszkadzać i denerwować katechetę. Rozmowy z rodzicami nie przynosiły właściwie żadnych rezultatów. Parafianie moi byli zazwyczaj ludźmi słabej wiary albo, jak sami sobie określali, „wierzącymi niepraktykującymi”. Widać to było szczególnie podczas kolędy. Była oczywiście garstka parafian bardzo gorliwych i życzliwych. Ludzie ci często zapraszali nas do swoich domów i okazywali nam wiele dobroci. Młodzież z tych rodzin pragnęła pogłębić

*Hej łod samego rano, ptośki tak ćwiyrkajom
Ze syčka Józefy, świnynto stojy majom
Nas ksiądz pralał Ślasyk, tyz mo tak na imiy
Niyk wyj te zycenia, dziś łodemniy przyjmij*

*Pragym jo wom złożyć, serdecne zycenia
Niyk siy wom spełniajom nojskrytse marzenia.
Łod dzieci z Ratułowa, i grona całego
Przyjmijciy pralacy syckiego dobrego*

*Na te imieniny, zycynia wom składom
I ło dło Wos, Matke Boskom blagom
Pani Cynstochowsko, z łoltorza głównego
Zachowoj pralata, łod syckiego zlego*

*A Pon Jezus Chrystus, co cały świat zbawił
By Wos miol w opiece, i Wom błogosławił
Na koniyc zycyń, rzeknym jedno słowo
Sto lat jo Wom zycym, i trzymciy siy zdrowo*

Danuta Kois

cie mnie do zakopiańskiego liceum.

I tak 15 lutego 1955 r. zostałem uczniem klasy pierwszej Liceum Ogólnokształcącego im. Oswalda Balzera. Przez kolejne lata służyłem do mszy św. W zabytkowym, drewnianym kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej przy ul. Kościeliskiej, gdzie też odbywała się katechizacja.

W 1958 r. zdałem maturę. Będąc w liceum, zaprzyjaźniłem się z Ryszardem Makowskim, który dziś jest kapłanem. Dzięki niemu poznałem osobiście ks. prof. Zbigniewa Wiśniowskiego, katechetę i opiekuna starego kościoła. Z czasem umiłowalem posługę przy ołtarzu, a delikatne słowa ks. profesora pomogły mi podjąć decyzję, która zmieniła bieg mojego życia. Wstąpiłem do Wyższego Seminarium Duchownego w Krakowie.

Co pozostało mi jako wspomnienie z dzieciństwa i młodości? W czasie wojny, chyba w roku 1944, Niemcy otoczyli nasz dom rodzinny ponieważ podejrzewali moją tatę o współpracę z party-



JAN GLĄBINSKI

> DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

swoją wiarę, uczęszczając nie tylko na religię. Szukała okazji do rozmów z kapłanem, wspólnego czytania Pisma Świętego i modlitwy. W ten sposób narodziła się grupa biblijna. Muszę przyznać, że nie rozumiałem wielu problemów tej parafii. Wszystko jednak wyjaśniał mi ks. proboszcz Józef Pędzimaż, który pracował tam od 1955 roku. To on nauczył mnie prowadzenia kancelarii. Poleciał mi sporządzanie ważnych dokumentów, wpisywanie chrztów, przeprowadzanie rozmów z narzeczonymi i pisanie protokołów przedślubnych. Mawiał, że to wspaniała okazja, aby poznać ludzi i porozmawiać z nimi. Sprawdział wszystko dokładnie, pokazywał błędy, tłumaczył z niezwykle spokojem i wyrozumiałością. Nigdy jednak nie rozkazywał, nie dyktował, zawsze delikatnie doradzał.

Po trzech latach zostałem przeniesiony do Nowego Targu, gdzie bardzo życzliwie przyjął mnie ks. Marian Stawarz. Powierzono mi katechizację młodzieży licealnej oraz opiekę nad dużą grupą lektorów. Ogarnął mnie lęk na myśl o czekających mnie zadaniach. Nigdy wcześniej nie uczyłem młodzieży. Dowiedziałem się, że moi poprzednicy: ks. Jacek Żurek (1968-1971) i ks. Franciszek Chowaniec (1961-1970) prowadzili duszpasterstwo oazowe. Nie wiedziałem nic o Ruchu Światło-Życie. W tych pierwszych miesiącach mojej pracy bardzo pomogła mi sama młodzież, a szczególnie Andrzej Fryźlewicz (późniejszy osobisty sekretarz kard. Franciszka Macharskiego).

W czasie wakacji pojechałem na rekolekcje oazowe dla kapłanów i tak zaczęła się moja przygoda z Ruchem Światło-Życie. Z czasem sam zacząłem prowadzić rekolekcje dla młodzieży. Praca ta mnie wiele nauczyła. Zrozumiałem, że dla młodych ludzi trzeba mieć czas i wiele serca. Pracy w parafii miałem dużo: mnóstwo spowiedzi, dyżury w szpitalu, pomoc w spowiedzi w parafiach dekanatu. Wszystko to męczyło psychicznie i fizycznie. Liczne trudności



Ks. proboszcz w pełni sił z dzieckiem pierwszo komunijnym
Po prawej: Wizyty duszpasterskie zawsze przebiegały w miłej atmosferze
Na sąsiedniej stronie: Długie włosy u księdza to był ewenement na tamte czasy

duszpasterskie i finansowe stały się przyczyną choroby ks. dra Stawarza. Dwa zawały, leczenie sanatoryjne i osłabienie sprawiły, że coraz częściej ks. proboszcz mówił o śmierci.

Dzień 2 grudnia 1975 r. był dla mnie jednym z najbardziej bolesnych, gdy ok. 15.00 wracałem z salki katechetycznej przy kościele pw. św. Katarzyny na obiad, zobaczyłem ks. doktora wychodzącego z garażu. Spytałem, skąd wraca? Ks. proboszcz powiedział, że podczas spaceru zrobiło się mu słabo i wszedł do samochodu, aby odpocząć, a zobaczywszy mnie, postanowił wraz ze mną wejść na plebanie. Ks. Marian wszedł do pokoju, położył się na łóżku, ja zaś szybko wezwałem pogotowie. Ks. proboszcz został przewieziony do szpitala, gdzie lekarze walczyli o jego życie. Towarzyszyłem mu w tych ostatnich chwilach i wypowiadałem go. „Nie



ma ratunku” - powiedział mi lekarz, który wyszedł na chwilę z sali. Mój kolega - kapłan udzielił księdzu Marianowi Sakramentu Namaszczenia Chorych. Lekarze oświadczyli: „Nic nie mogliśmy już zrobić”. Było to dla mnie bolesne przeżycie.

Od dnia pogrzebu do połowy stycznia parafią zażądał zespół wikariuszy, którego byłem seniorem. W styczniu proboszczem został ks. kanonik Franciszek Juraszek: inny człowiek, inne widzenie wielu spraw parafii. Pracowałem dalej, przekazawszy opiekę nad młodzieżą ks. Wiesławowi Macudzie. Miałem świadomość, że powinienem zostać przeniesiony do innej parafii. Pod koniec stycznia 1978 r. ks. biskup Jan Pietraszko mianował mnie proboszczem w Kaniowie koło Czechowic-Dziedzic.

Prosiłem ks. kardynała Karola Wojtyłę, aby pozwolił mi być nadal wikarym. Wysłuchał mnie, pobłogosławił i powiedział: „Pójdiesz i dasz sobie radę. Ustal sobie zmianę z odchodzącym do Kęt ks. Ferdynandem Bochaczykiem”.

1 lutego 1978 r. przejąłem duszpasterstwo po proboszczu i wikariuszu ks. Wacławie Bednarzu. Zostałem sam w parafii liczącej 2800 wiernych. Ks. kardynał Karol Wojtyła po rozmowie z delegacją parafii w Kaniowie powiedział, że przyjedzie do nas jesienią i wytłumaczy, dlaczego zabrano nam wikariusza. Obiecał też, że latem 1979 r. przydzieli parafię drugiego księdza.

Ze strachem przejmowa-

łem tę parafię. Zastałem ludzi, którzy nie chcieli odejścia dotychczasowego proboszcza. Plebania świeciła pustkami (dwie szklanki i dwa talerzyki). Powoli, z trudem wchodziłem w rzeczywistość nowej, robotniczej parafii, której zdecydowaną większość stanowili partyjni. Było też wielu ludzi religijnych, serdecznych i chętnych do pomocy.

Katechizowałem sam dzieci i młodzież, także tę ze szkół średnich. Rok 1978 był dla mnie szczególnie trudny. W styczniu zmarł mój tata. Potem przyszła śmierć Ojca Świętego Pawła VI, odszedł również nowy papież Jan Paweł I. I wreszcie Głową Kościoła został ks. kardynał Karol Wojtyła. Radość mieszała się z zaskoczeniem. Ks. kardynał miał przeciw 28 października odwiedzić Kaniów i wytłumaczyć moim parafianom, dlaczego odebrano im wikarego. Tymczasem skróconej wizytacji dokonał ks. biskup Julian Groblicki i nic ludziom nie wyjaśnił.

21 grudnia 1978 r. zmarła moja mama. Kaniów był trudną parafią. Z radością widziałem jednak, że coraz więcej jest ministrantów, lektorów i młodzieży oazowej, coraz częściej ludzie przystępują do spowiedzi i komunii świętej, chętniej pracują przy kościele i na cmentarzu. Bolało mnie, w jaki sposób załatwiano sprawy pogrzebów. W czasie mojego proboszczowania świecki ceremoniarz odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku siedmiu zmarłych.

Denerwowało mnie zagrożenie kościoła i plebani,

*Śpiwaniem ptoski marcowe, rano za łoknym już kwiliły
Ze to ksiyndza pralata, som dzisiok imieniny
Stojym z kwiotkami praed Wami, zycynia złożyć pragnym
Niywiyem jako słowa podbierać, zeby było ładniy
Coby Was cym niy pogniywać, ino Wase serce lozweselić
By w tym dobrym sercu, było pełno nadziei
Nadzieji - ze ciyrpiniy mo syns, w to trzeba mocno wierzyć
Z pokorom przez zyciy iść, i dźwigać łod Boga swój krzyż
Tak jus na tym świeciy jest, i tak jus pewniy pozostaniy
Wto jest kochany przez Boga, to w swym zyciu krzyż dostajy
Trza wierzyć mocno i mieć nadzieiy, ze kiesik dobrze bedziy
Bo Bog jest stale na straży, kie trza przygarniy do siebiy
Niykze dlo was w tym dniu marcowym, słonko mocniej zaświeci
Nytł troski, smutek, ciyrpiymiy, - w dalekom ničośłodleci*

Danuta Kois

wywołane przez kopalnię „Silesia”. We wrześniu 1985 r. parafia otrzymała wreszcie wikariusza, neoprezbitera ks. Janusza Widura, gorliwego i pracowitego kapłana.

Pod koniec kwietnia 1989 r. ks. biskup Kazimierz Nycz wręczył mi decyzję o przeniesieniu mnie do Miętustwa. Było to dla mnie ogromne zaskoczenie. Wcześniej dowiedziałem się, że delegacja parafii w Miętustwie pojechała do ks. prałata Józefa Kaziela i powiedziała mu, że ludzie nie życzą sobie, aby był on ich proboszczem.

Nie mogłem zrozumieć, jak można było w ten sposób potraktować tak zacnego i gorliwego kapłana. W pierwszych dniach maja pełen lęku pojechałem do Miętustwa. 3 Maja uroczystą Mszą św. w dzień odpustu rozpoczęłem posługiwanie. Od samego początku pomagał mi niezwykle roztropny ks. wikariusz Stanisław Syc. Pragnąłem przeprowadzić zaplanowane przez mojego poprzednika prace: wymianę pokrycia dachowego na blachę miedzianą, malowanie wnętrza kościoła, tynkowanie go i porządkowanie placu przykościelnego.

Wielu parafian pomagało swoją pracą, modlitwą i ofiarą. Dużą rolę odegrali tu również rodacy z USA. Z czasem wymieniliśmy również ogrodzenia i wybudowaliśmy parking.

W roku 1996 dotknęło mnie nieszczęście. Pewnej soboty wracałem z Ochotnicy Dolnej, gdzie głosiłem kazania z okazji odpustu na uroczystość Znalezienia Krzyża Świętego. Prowadząc małego fiata, w pewnym momencie zjechałem na lewy pas, do dziś nie wiem dlaczego to było tak, jakbym się nagle zapomniał, „wylączył” się z tego, co się wokół mnie dzieje. Efekt był straszny: zderzenie czołowe z jadącym z naprzeciwka autem i śmierć kobiety - żony i matki. Moja lewa noga została uszkodzona. Lekarze stwierdzili zerwanie mięśnia czterogłowego. Najpierw leżałem w szpitalu w Nowym Targu, potem przebywałem w sanatorium w Ustroniu. Powoli uczyłem się chodzić. Nie ta choroba była jednak najgorsza, ale cierpienie duchowe i psychiczne. We dnie i w nocy powracało do mnie pytanie: „Dlaczego ja żyję a ta matka i żona straciła życie?”. Przewód sądowy jeszcze pogłębił tę moją wewnętrzną udrękę, która trwa do dziś. Nie potrafię już prowadzić samochodu. siadam najwyżej koło kierowcy, a gdy zdarza mi się przejeżdżać przez Harklową, nie mogę patrzeć na drogę. Myślę, że zawał serca, którego doznałem 24 listopada 1998 r., był spowodowany właśnie tymi przeżyciami. Jedyną pociechę stanowiła modlitwa i świadomość, że jeśli Bóg daje krzyż, to daje też i siłę do dźwignia go.

Nadszedł wreszcie rok

2000 - wspaniały Rok Jubileuszowy. Planowaliśmy wymianę pieca grzewczego i przeniesienie go do piwnic plebani, aby nad prezbiterium kościoła nie wznosił się wysoki komin. Wcześniej trzeba było ocieplić strop kościoła. 13 października wyszedłem na strych kościoła, aby obejrzeć strop i uporządkować całe pomieszczenie. Znałem ten strych dokładnie. Obejrzałem wszystko i sprawdziłem liny, na których umocowane były trzy żyrandole.

Kiedy skończyłem pracę zgasiłem światło i skierowałem się w stronę wyjścia. Wtedy zdarzył się nieszczęśliwy wypadek: wychodząc, wpadłem do otworu wywiertnikowego. Chwila zaślepienia, bo przecież powinienem był dobrze o tym otworze wiedzieć. Doznałem złamania kręgosłupa. Przewieziono mnie do szpitala im. Rydgiera w Krakowie, gdzie przeprowadzono dwie operacje. Następnie leczyłem się w sanatorium w Reptach. Jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, to podczas rehabilitacji złamałem sobie nogę i znowu trafiłem do szpitala.

Parafianie poprosili ks. kardynała Franciszka Macharskiego, abym wrócił do Miętustwa. Ks. kardynał wyraził zgodę pod warunkiem, że plebania i kościół zostaną odpowiednio przygotowane.

Pod kierownictwem ks. Krzysztofa Kózki przystosowano pokój i łazienkę, zrobiono specjalny podjazd do plebani i windy do kościoła. Wróciłem do Miętustwa w Wielką Środę w 2001r.

Sprawuję urząd proboszcza i jednocześnie ciągle się leczę. Sprawność dolnej części ciała powróciła minimalnie w okolicy pasa. Poruszam się za pomocą wózka inwalidzkiego. Jestem wdzięczny Bogu za sprawność rąk, ks. kardynałowi - za zrozumienie i życzliwość, a parafianom - za ich wielkie serce.

Parafia moja nie jest łatwa do duszpasterzowania. Trudno bowiem scalić należące do niej części różnych wiosek: Cichego, Ratułowa, Czerwiennego i Starego Bystrego. Pochłania nas dodatkowo troska o kaplicę w Ratułowie, organistówkę, plebanie i dom parafialny, w którym odbywają się rekolekcje apostolskie dla młodzieży.

Najważniejszy jest jednak kościół i jego otoczenie. Wciąż staram się szukać nowych dróg do serc moich parafian i pogłębiać ich wiarę. Obecnie przygotowujemy się do uroczystości stulecia naszej parafii, które przypadnie na rok 2008. Staramy się wsłuchiwać w słowa patronki naszego kościoła: „Czyńcie, co wam mówi Syn” oraz w Chrystusowe wezwanie: <<Ufajcie, jam zwyciężył świat>>”.

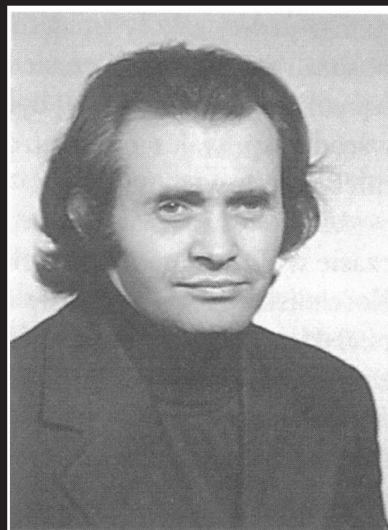
wysłuchał

Franciszek Szlaga

Przytoczony fragment

pochodzi z książki „Świat piękny, życie trudne”, Nowy Targ 2005 r.

Bywają w naszym życiu osoby, których odejście głęboko przeżywamy uświadamiając sobie przy tym, ile dla nas znaczyły. Takim był też znany wielu Nowotarzanom i Podhalanom ksiądz prałat Józef Ślazyk. Urodzony 18.X.1939 r. w Słopicach, w diecezji tarnowskiej, do Nowego Targu jako wikary trafił w 1971 r. W parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa oprócz obowiązków duszpasterskich zajmował się młodzieżą, a szczególnie grupami oazowymi i służbą liturgiczną. Jego charakterystyczną sylwetkę i długie włosy, co u księdza wtedy budziło jeszcze zdziwienie, zapamiętaliśmy wszyscy, którzy z nim zetknęliśmy się. Nie to było jednak najważniejsze, lecz jego kontakt z nami – bezpośredniość, optymizm, uśmiech i szczerość, ale też stawianie wymagań. Bycie z nami w chwilach radosnych, ale i smutnych. Uczył nas w tych trudnych chwilach „realnego” socjalizmu jak odnajdywać w sobie, ale i przy kościele i parafii swoją „oazę” wolności. Wielu dopomógł odnaleźć swoją



Ks. PRAŁAT JÓZEF ŚLAZYK,
PROBOSZCZ PARAFII MIĘTUSTWO

drogę życia i powołanie, o czym świadczy kilkanaście powołań kapłańskich i zakonnych, w okresie, gdy był wikariuszem w Nowym Targu. Zawsze mogliśmy przyjść do niego z prośbą o radę i pomoc w rozwiązywaniu naszych codziennych, a często i życiowych problemów. Nigdy nie narzucał nam swoich poglądów i przekonań, lecz przedstawiał różne możliwości ich rozwiązania zostawiając nam własny wybór. Miał z nami świetny kontakt, często stawał się przy różnych okazjach jednym z nas, ale wszyscy wiedzieliśmy, że na nim zawsze możemy polegać i nigdy nas nie zawiedzie. Mianowany przez ks. kard. Franciszka Macharskiego proboszczem w Miętustwie, wrócił na Podhalę i nadal działał tak, jak w Nowym Targu – bez wielkiego rozgłosu i fanfar, ale z wielkim sercem i wyczuciem duszpasterskich potrzeb swoich parafian i wszystkich, którzy do niego przychodzili. Po tragicznym wypadku w 2000 r., gdy spadł z rusztowania w kościele, stał się niepełnosprawny i poruszał się na wózku inwalidzkim. Chciał zrezygnować z funkcji proboszcza, ale parafianie udali się z prośbą do Metropolity kard. Franciszka Macharskiego, aby

mógł zostać nadal proboszczem, a oni przystosują kościół i plebanie do potrzeb osoby niepełnosprawnej. Ten gest parafian świadczy o wielkim szacunku i uznaniu, którym się cieszył w parafii. Gdy ze względów zdrowotnych nie mógł już pełnić nadal obowiązków proboszcza, po trzęsieniu ziemi na Podhalu w 2004 r., które uszkodziło kościół, pozostał rezydentem w Miętustwie. Ze względu na pogarszający się stan zdrowia, dwa lata temu przeniósł się do Domu Księżych Chorych w Krakowie – Swoszowicach, gdzie zmarł 30 stycznia 2014 r. Jego pogrzeb 1 lutego 2014 r., zgodnie z jego ostatnią wolą, odbył się w jego ukochanej parafii, w Miętustwie, gdzie parafianie z Miętustwa, Czerwiennego, Starego Bystrego i Ratułowa, ale i z całej gminy Czarny Dunajec, Nowego Targu oraz Kaniowa, Słopic i Podhala tłumnie przyszli oddać mu ostatnią przysługę, ale i podziękować za jego „gazdowanie”, podczas którego zyskał sobie serca Górali. Uroczystościom

pogrzebowym i Mszy Św. przewodniczył ks. biskup Tadeusz Piorek, a homilię wygłosił kolega rocznikowy i przyjaciel Zmarłego, ks. kan. Tadeusz Szarek. Podkreślił on wielką wiarę Zmarłego, wytrwałość i siłę w znoszeniu cierpienia, i że przez całe życie starał się - wzorem Chrystusa - przejść dobrze czyniąc. W

imieniu kolegów z rocznika parafianom z Miętustwa i wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób pomagali księdzu Józefowi podziękował, pochodzący z Trybsza ks. prałat Andrzej Waksmański. Do ostatnich dni życia, nie tylko interesował się tym, co się dzieje w Miętustwie, Nowym Targu i na Podhalu, ale i modlił się ofiarując swoje cierpienia w naszych intencjach. Symbole naszego regionu – muzyka góralska, banderia konna, czy czarne pogrzebowe lando podkreślały jego związek z Podhalą i z nami. Odszedł od nas nasz Duszpasterz i Przyjaciel, a zarazem, co dobitnie uświadomiliśmy sobie podczas pogrzebu, nasz Autorytet. Niech miłosierny Bóg, któremu zaufał przyjmie go do Niebieskiej Ojczyzny, a jego osoba, życie i czyny trwają w naszej modlitwie i pamięci.

Marek St. Fryźlewicz

Kiedy w latach 1971-1978 ks. Józef Ślęzyk był wikariuszem w parafii Najświętszego. Serca Pana Jezusa w Nowym Targu, ja byłem tam ministrantem i lektorem. Dzisiaj od prawie 32 lat jestem księdzem. Jeśli komuś zawdzięczam swoje powołanie kapłańskie to mojej Mamie, która mi je wymodliła i właśnie Księdzu Józefowi, który ukazał mi piękno kapłańskiego życia. Takich jak ja, ministrantów i lektorów w owych czasach było kilkudziesięciu. Wielu z nich (przynajmniej kilkunastu) jest dzisiaj tak jak i ja księżmi. Jestem przekonany, że ich powołanie jest również efektem Jego kapłańskiej posługi. Przez całe moje kapłańskie życie powtarzam sobie bardzo często Jego maksymę, którą wypowiedział na jednej z lekcji religii:

„Przez całe moje kapłańskie życie powtarzam sobie bardzo często Jego maksymę, którą wypowiedział na jednej z lekcji religii: „Raz wybrałszy, codziennie wybierać muszę”. Księżu Józefie dziękuję za Twój przykład kapłańskiej wierności i za te słowa, które przez prawie 32 lata towarzyszą mojemu kapłaństwu.

„Raz wybrałszy, codziennie wybierać muszę”. Księżu Józefie dziękuję za Twój przykład kapłańskiej wierności i za te słowa, które przez prawie 32 lata towarzyszą mojemu kapłaństwu. Wybrałeś najlepszą część i nie będziesz jej pozbawiony. Niech Ten, Którego wybrałeś i Któremu byłeś wierny przez 50 lat swego kapłaństwa będzie Twoją wieczną nagrodą w niebie. Liczę na Twoją dalszą pomoc ...

Ks. Kazimierz Kubat SDS

Można napisać, że w Swoszowicach mimo brania morfiny cierpiał na Męgłosłup. I początkowo w czasie pobytu tutaj nie mógł się przyzwyczaić. Tęsknił za Miętustwem, ale później powoli się przyzwyczaił. W Miętustwie miał pielęgniarki tylko dla siebie, a tutaj był jednym z dwudziestu kilku księży. Ale opiekę tutaj też miał wspólną. Tutaj do opieki miał siostry zakonne, które opiekują się chorymi. Bardzo często odwiedzał go kolega z rocznika ks. Tadeusz Szarek, a trochę rzadziej inni księża. Często bywali księża Józef i Waksmański Andrzej. Tutaj było im bliżej, niż do Miętustwa. Zmarły ks. Prałat był ostatnio dwa razy w szpitalu. Był bardzo słaby i był pod opieką lekarza i troskliwą opieką jednej z sióstr zakonnych, przełożonej naszych Sióstr – siostry Miriam, która podobnie jak kilka innych naszych sióstr ma wykształcenie pielęgniarskie. Bardzo często bywała też z pomocą pani doktor Katarzyna, jego siostrzenica. W Miętustwie miał swoją gospodynię, już nie żyjącą, zmarłą na raka panią Stasię. Przyjeżdżała co dzień rano przed ósmą, a schodziła z dyżuru po szesnastej. Potem przyjeżdżały na późne popołudnie i na noc zmieniające się pielęgniarki.

Ks. Krzysztof Grzybowski

Księdza prałata Józefa Ślęzyka poznałem bliżej w roku 2008, kiedy to zostałem wikariuszem parafii NMP Królowej Polski w Miętustwie. Jednak nasze pierwsze spotkanie miało miejsce kilka lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy byłem na rekolekcjach Grup Apostolskich w Miętustwie. Z opowiadań wiedziałem że ksiądz Józef był niesamowitym księdzem, bardzo oddanym i zaangażowanym w pracę duszpasterską, zwłaszcza w duszpasterstwo dzieci i młodzieży. Mówiono o nim że był człowiekiem niesamowitej energii i witalności. Taki był ksiądz Józef w opowiadaniach, moje zaś spotkania z nim były już później po wypadku, gdy był umęczony cierpieniem i chorobą, jednak ta iskra nadal w nim się tliła. I choć nie miał możliwości bycia tak aktywnym, to jednak paradoksalnie każde spotkanie z nim było żywe i energiczne. Ksiądz prałat mimo że już nie brał aktywnego udziału w życiu duszpasterskim to jednak zawsze się interesował pracą z młodzieżą. Zawsze mnie motywował mówiąc: „Niech ksiądz dalej tak pięknie pracuje z nimi”. Widać było, że sprawy duszpasterskie ciągle leżą mu na sercu. Ksiądz Józef dużo czytał, lubił książki. Ile razy go odwiedzałem, zawsze miał przy łóżku książkę, często jakąś nowość wydawniczą. Można powiedzieć, że był chłonny wiedzy i nawet choroba nie zniechęciła go w tym dążeniu. W moich spotkaniach z prałatem szczególnie uderzająca była jego pobożność, zawsze z brewiarzem albo różańcem w ręku. Inaczej go nie pamiętam. Codziennie sprawował Eucharystię w swoim pokoju. Zawsze w księżowskiej koszuli prawdziwy kapłan, który nigdy nie stracił swojej tożsamości. Takiego świętej pamięci księdza prałata Józefa Ślęzyka pamiętam.

Ks. Tomasz Stec



ARCHIWUM PANA KOSAKOWSKIEGO

Do sakramentu przyjęcia pierwszej komunii świętej ksiądz Józef przygotowywał jako nowotarski wikary pana Wojciecha Kosakowskiego U góry, na sąsiedniej stronie: Spotkanie w czasie oazy z kard. Karolem Wojtyłą. Ksiądz Ślęzyk stoi drugi z lewej Na dole strony sąsiedniej: Ksiądz Ślęzyk udzielił 28.10.1989 r. sakramentu małżeństwa Helenie i Władysławowi Miętusom w kościele w Miętustwie U góry: Uroczystość pierwszej komunii świętej w Miętustwie

Jakież było moje zdziwienie, gdy pod koniec sierpnia 1991 r. na pierwszej Radzie Pedagogicznej spotkałem ks. Józefa Ślęzyka. Rozpoczywałem wtedy pracę w ośmioklasowej Szkole Podstawowej nr 1 w Cichem, a religia po wielu latach nieobecności ponownie trafiła do szkoły. Pamiętam, że po kilku dniach przyniosłem pokazać fotografię z roku 1977, na której stałem ja i ks. Józef Ślęzyk podczas mojej I Komunii Świętej. Jak się okazało, ks. prowadził mnie do komunii w parafii NSPJ w Nowym Targu. To miłe wspomnienia, dodam jeszcze, że w 1996 r. ksiądz koncelebrował

Msze Świętą na moim ślubie w Łopusznej. Praca duszpasterska księdza Józefa wplotła się w moje życie. Ze sportowych wspomnień najbardziej pamiętam nasze siatkarskie wyjazdy do Podczerwonego. Graliśmy na grono nauczycieli z tamtej szkoły. Nasz ksiądz Proboszcz miał niepowtarzalną zagrywkę. Piłka po uderzeniu spadała zaraz za siatkę na polu przeciwnika. Wyników nie pamiętam, ale za najważniejsze z perspektywy czasu uważam spotkanie z ludźmi, rozmowy, przebywanie. Teraz o to bardzo trudno. Księdza Proboszcza zapamiętam jako osobę bardzo otwartą na ludzi.

Wojciech Kosakowski



Miłe rozmowy z biskupem Wojtyłą

Dziennikarze „Bez tytułu”: W jaki sposób odkrył Ksiądz swoje powołanie kapłańskie?

Ks. Proboszcz Józef Ślęzyk: Kapłaństwo to dar i tajemnica. Powołanie też często ma w sobie coś z tajemniczości. Tak było u mnie W maju 1958 r. usługiwałem do Mszy św., która była sprawowana w języku łacińskim. Z Mszału usłyszałem coś w rodzaju nakazu: Będziesz księdzem!

- Jakim był ksiądz uczniem w szkole podstawowej? Pełnił Ksiądz jakieś funkcje, np. przewodniczącego klasy, samorządu szkolnego. Który miał Ksiądz numer w dzienniku? Może z Księdza klasy również ktoś został duchownym, a może nauczycielem?

- W szkole podstawowej byłem dobrym uczniem. Żadnej funkcji nie sprawowałem. Klasa liczyła 36 osób. Mój numer dziennika był 31. Z klasy tylko jedna koleżanka poszła do Liceum Pedagogicznego i została nauczycielką.

- Wiemy, że Ksiądz uczył kiedyś w naszej szkole? Jak zachowywali się nasi starsi koledzy - mówiąc żartobliwie nasi nauczyciele? Pan Kosakowski już wtedy był takim wielkim postrachem dla wszystkich, a jednocześnie chyba najbardziej lubianym nauczycielem przez dzieci?

- W tutejszej szkole były klasy trudne do prowadzenia i były zachowujące się całkiem poprawnie. Grono nauczycielskie było bardzo sympatyczne i życzliwe. Pan Kosakowski był surowy i wymagający szczególnie w dziedzinie zachowania, ale wnosił radość i pogodę ducha.

- Czy podczas mszy św. w kościele zdarzyła się księdzu jakaś zabawna historia?

- Zdarzyło mi się, że odprawiając w kapliczce w pierwszym miesiącu kapłaństwa Mszę św. przyjąłem Ciało Chrystusa, a wtedy do kielicha z Krwią Chrystusa wleciała osa, nie mogłem jej w żaden sposób wyciągnąć. Ludzie patrzyli i czekali, a ja z modlitwą w sercu i lękiem wypilem Krew Przenajświętszą razem z osą.

- Zliczył może Ksiądz kiedyś, ile odprawił już mszy św.? Może którąś celebrował ksiądz w nietypowym miejscu?

- Odprawiałem mszę świętą z młodzieżą oazową w lesie na pniu drzewa, po zakończeniu drogi krzyżowej.

- Kiedy rozpoczął ksiądz pracę parafii w Cichem - Miętustwie? Jak Ksiądz wspomina tamten czas?

- W Miętustwie pracę duszpasterską rozpocząłem 2 maja 1989 r. Była grupa parafian, która od początku przejęła mnie niezycliwie. Prace, które rozpocząłem jak założenie okien zewnętrznych, wymiana dachu, malowanie wnętrza kościoła, tynkowanie ścian zewnętrznych kościoła, zabranie pola na wykonanie parkingu, zmiana walącego się w niektórych miejscach ogrodzenia kościoła, a zwłaszcza usunięcie starych drzew wokół kościoła (w większości lip) uznali niektórzy za niszczenie tego, co mogłoby jeszcze dłużej być

- Zapewne podczas pracy duszpasterskiej wielokrotnie spotykał się ksiądz z biskupami i kardynałami z archidiecezji krakowskiej. Jak przebiegają takie spotkania?

- Spotkania z biskupami i kardynałami zawsze przebiegają w życzliwej i przyjacielskiej atmosferze. Najmilej rozmawiało się z biskupem Wojtyłą. Był naszym profesorem, w początkach naszego kapłaństwa wyznaczał czas na spotkanie i rozmowę.

- A może miał ksiądz okazję spotkać się również z papieżem Janem Pawłem II

- Niestety z papieżem Janem Pawłem II nie spotkałem się w Polsce, nie było możliwości, a do Rzymu nie mogłem pojechać, bo władze PRL

nie dały mi paszportu za mówienie kazań przeciw władzy.

- Lubi Ksiądz nosić strój duchowny?

- Sutanna to strój niepraktyczny. Jednak ją polubiłem od czasów klekcyk. W krótkim stroju (garnitur, koszula z koloratkiem) chodziłem rzadko.

- Podczas posługi duszpasterskiej w naszej parafii udzielił ksiądz wielu naszym rodzicom sakramentu małżeństwa, a potem sakramentu chrztu św. ich dzieciom. Udzielał Ksiądz też sakramentu pierwszej komunii świętej. Jaką moc mają te sakramenty?

- Sakramentów świętych udzieliłem dużo. Trzeba pamiętać, że ich moc zależy w ogromnej mierze od przyjmującego. Trzeba się dużo modlić za zawierających Sakrament Małżeństwa, aby słowa przysięgi małżeńskiej były nie tylko wypowiedziane, ale przemyślane i zrealizowane. Trzeba, aby rodzice i chrześni mieli świadomość, że chrzest czyni dzieckiem Bożym i pomagali dzieciom poznawać prawdy Boże.

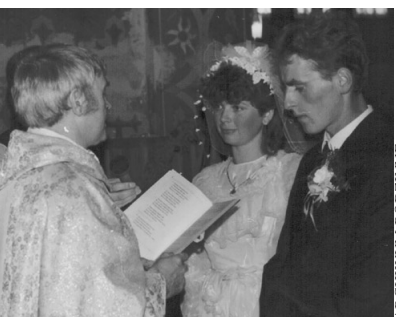
- Jakie programy telewizyjne najczęściej Ksiądz ogląda?

- Telewizji staram się nie oglądać. Wyszukuję programy historyczne i przyrodnicze.

- Dziękujemy za rozmowę.

**Ku rozwadze
Nikt dziś nie ma
czasu, każdy goni
szczęście. Na
później zostawia to
co najważniejsze.
Zatrzymaj się na
chwilę, odetchnij
pięknem świata.
Zatrzymaj się na
chwilę, zauważ swego
brata. Zatrzymaj się
na chwilę nad tym
co w sercu kryjesz,
zatrzymaj się na
chwilę i pomyśl po co
żyjesz.**

Ks. Józef Ślęzyk



ARCHIWUM RODZINNE



W uroczystościach pogrzebowych, które poprowadził bp Tadeusz Pieronek wzięło udział bardzo wielu księży, m.in. z rocznika ks. Ślęzyka, kolegów z roku, miejscowości gdzie pracował, z okolicznych wiosek w dekanacie

Poniżej:

Ciało zmarłego proboszcza z kościoła na cmentarz przewieziono zaprzęgiem konnym w asyście jeźdźców z banderii konnej



Delegacje z pocztami sztandarowymi kłaniają się przed trumną z ciałem zmarłego naszego księdza proboszcza

Powyżej:

Ostatnie pożegnanie uświetniła kapela góralska

